Nr. 42 Rok 4 Kraków, dnia 17 października 1943. 40 gr.

# Ilustrowany

## KURJER POLSKI

„LE GRAND PRIX"...

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot: PK Felden (3), Tiemann, Waske, Ohmeyer, Dreyer-Atl., Wiśniewski, Kessler-PBZ, Gronefeld-Sch., Transozean

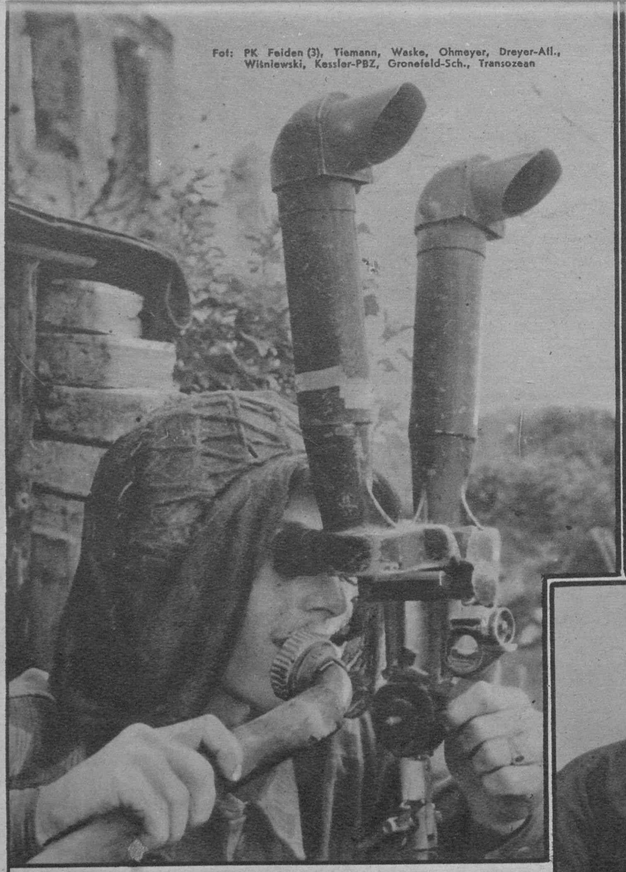

Powyżej:
Niemiecki posterunek obserwacyjny na północnym odcinku frontu wschodniego śledzi przez lunetę ruchy wojsk sowieckich.

Poniżej:
Niemieccy żołnierze walczący na fińskim froncie nad zatoką Kandałaksza, otrzymują odznaczenia, przyznane im przez marszałka polnego Mannerheima.

Niemiecka kolumna zaopatrzeniowa na Wschodzie, wiezie amunicję na front.

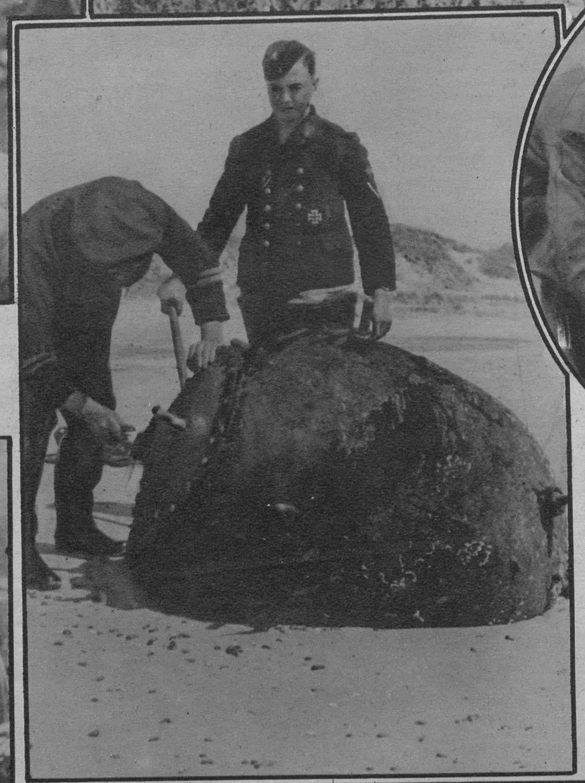

Niemieccy marynarze unieszkodliwiają nieprzyjacielskie miny wyłowione na wybrzeżu. Na lewo: Ostrożnie otwiera marynarz mechanizm zamkowy miny.

Poniżej:
Niemiecki posterunek w rowie strzeleckim oddalonym jedynie o 100 metrów od pozycji sowieckich.

Poniżej: Również i ta mina nie jest już groźną.
Na lewo: Miny, z których nie udało się wyjąć mechanizmu zapalnego unieszkodliwia się przez eksplozję.

Na zdjęciu widzimy trzy z ośmiu czołgów, rozbitych przez dwa niemieckie działa w ciągu półtora godzinnego boju.

Powyżej:
Niemiecki samolot myśliwski na froncie wschodnim na krótko przed startem. Z przodu widoczne lufy jego uzbrojenia.

Poniżej:
Usławianie ciężkiego działa na pozycji frontu wschodniego.

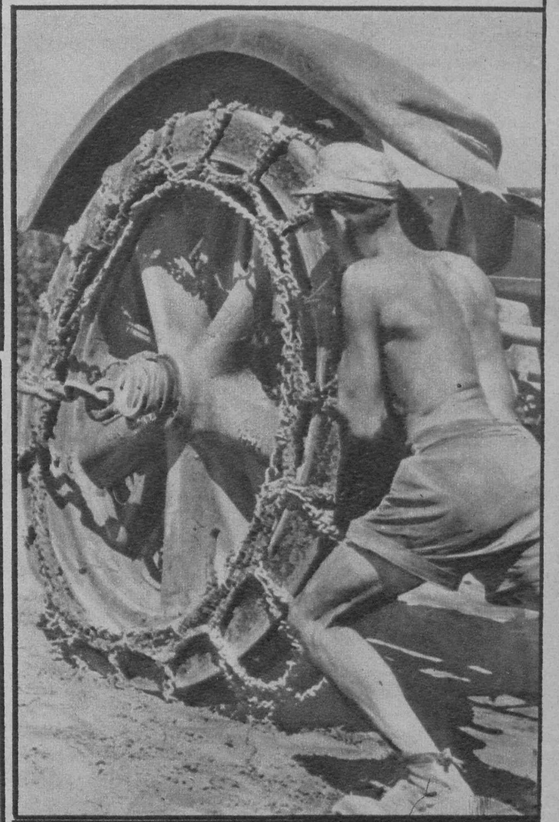

TYGODNIK WOJENNY

**DEFILADA „ZAWODNIKÓW"**
W tak ważnym dniu trzeba się przecież zaprezentować PT. Publiczności! „Asy" treningu wyścigowego pozwalają się podziwiać widzom, krocząc majestatycznie po bieżni wyścigowego toru.

**CO . . . PIES WYSKOCZY!**
Migają w oczach widzów numery na „czaprakach" biegnących faworytów. Kto będzie zwycięzcą? Zając umyka co tchu . . . Dzielne charty rwą za nim... z kopyta(!)...

# WYŚCIGI

**WAŻY SIĘ SZALA ZWYCIĘSTWA**
Już któreś łam z rzędu okrążenie toru . . . Szkaradny zając umyka, jak na złość... Oddech ciężki, kurz, wrzawa wśród widzów... Nie tak to łatwo być . . . psem wyścigowym!

Kto nie zna psychiki rdzennego Paryżanina, jego bezpośredniej natury, jego radości życia i jakże wielostronnych zainteresowań — ten nie zrozumie nigdy nastawienia obywatela z nad Sekwany do chwili, którą rzuca dany dzień, jego ustosunkowania się, naprawdę żywiołowego, do wszystkiego, co rozjaśnić może szarą rzyznę godzin, wnieść odrobinę choćby tylko nawet radości w wir wciąż tych samych zajęć i prac, z których składa się przecież różaniec bytu. Francuz, ten rodowity Francuz, jest zawsze jak dziecko: uśmiechnięty, beztroski, zadowolony ze wszystkich i ze wszystkiego, a co najważniejsze — sam ze siebie. Zgryźliwość i hipochondria są mu obce całkowicie i dlatego mówi się wszędzie o francuskim humorze, jak o czymś, co naśladować warto i powinno być naśladowanym. — Po dziecięcemu przyjmuje Francuz uśmiechy i burze doli, cieszy się całym sercem i prędko otrząsa się ze smutku i zawodów. Po dziecinnemu podchodzi do pewnych kwestyj i zagadnień — umiejąc jednakże zachować godność dorosłego człowieka, choćby nawet klaszcząc zapalczywie w ręce i wołając na całe gardło: Il n'ya pas, comme chez nous! Z tych, a nie innych powodów, interesuje się Paryżanin

**M Y D W A J !**
Zwisającego słuchami w dół zająca mocno dzierżą w kłach dwaj wspólni zwycięzcy, niechcący nawet na rękach panów rozstać się ze swą zdobyczą.



**U . . . „METY"...**
W zajadłym bieg
szedł moment
niejszy: który
dopadł zają
conego z szy
Zwycięzca p
go za ułame
dy w paszcz
umfalnie z a
swemu p

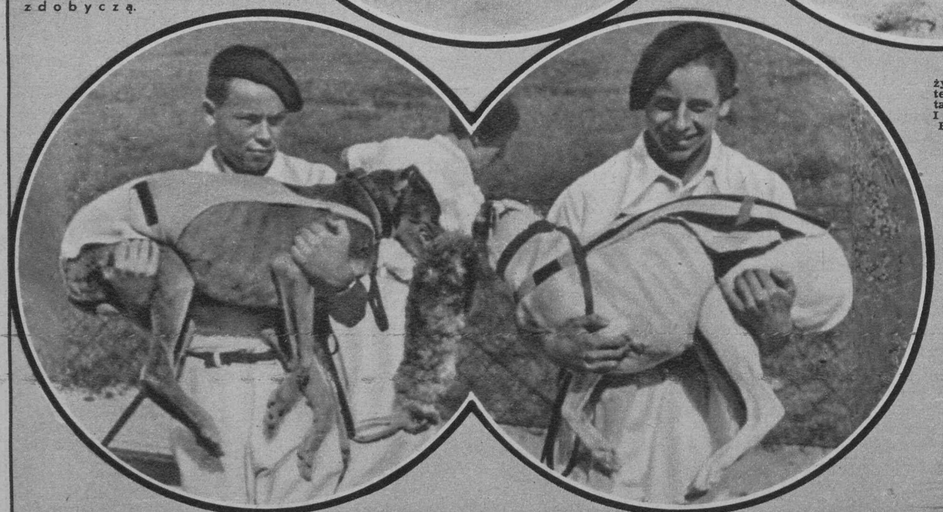

**NA TRYBUNACH . . .**
Wygra czy nie wygra? Wytrwa do końca szaleńczego biegu, czy odpadnie po drodze? Na twarzach gra uczuć. Niedowierzanie, zawód, nadzieja. Kto wie?

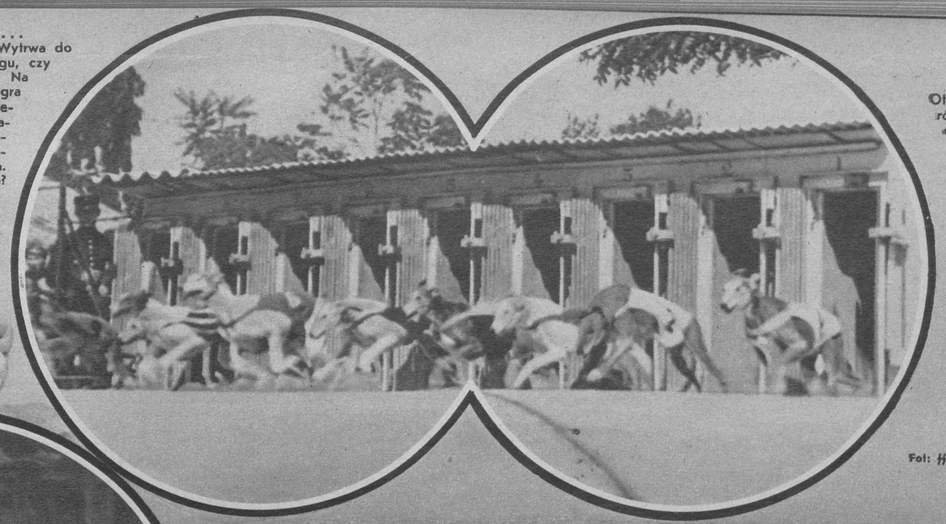

**„EN AVANT!"**
Otwarto automatycznie równocześnie drzwi budek. W wyciągniętym skoku wypadają bohaterzy dnia na tor. Naprzód! Mechaniczny zając już ruszył z miejsca!

Fot: ff-Kriegsberichter Apfel

. . . na wyścigach. O psich zasługach i wyczynach
. . . wiele słyszano już jakże wiele!
. . . sztuka we wspaniałych niejednokrotnie
. . . odzwierciedliła łowcze zdolności czworonożców, ale o stawaniu psów na torach wyści-
. . . głucho dotąd i cicho było. Ba! Słyszało się
. . . kogutów, o wyścigach nawet . . . kaczek,
. . . psy,
. . . własnie! Tor wyścigowy w tym wypadku przy-
. . . bardzo wyścigową bieżnię konną. Różnica
. . . mniejszej przestrzeni oraz braku przeszkód,
. . . nowanych w zawodach konnych. Najważniej-
. . . różnicę stanowi dodatek techniczny, sztuczny
. . . uszający się z pomocą urządzenia elektrycz-
. . . wewnętrznym łuku bieżni z ogromną szybko-
. . . większą, od domniemanej w najlepszej formie
. . . psów-zawodników.
. . . stanowi przynętę dla biegnącej za nim sfo-
. . . w zażartej gonitwie daremnie stara się dopaść
. . . wciąż przed nią szaraka. — Zapytają Czy-
. . . co „mordować" daremnie psy, gdy zając i tak
. . . być doścignięty, bo nie pozwala na to mecha-
. . . czny. Racja. Ale z opisów dowiadujemy się,
. . . nie jest. Gdy w biegach konnych chodzi
. . . stwo w dojściu do mety, to w psich wyści-

# GRTÓW

. . . o największą wytrzymałość w biegu, a to jest
. . . indywidualną tego czy owego „zawodnika",
. . . mniej wytrzymałe osobniki, szanse zaś
. . . rosną. Z wyczerpywaniem się zasobu „psiej
. . . zwalnianym jest bieg mechanicznego zająca,
. . . wreszcie wśród niesłychanego entuzjazmu wi-
. . . pada" zziajany zwycięzca! I oto — comme de
. . . niec widowiska. Totalizator wypłaca wygrane
. . . faworyt tłumu, właściciel jego właściwie, za-
. . . jest propozycjami kupna, „niewygrani" gracze
. . . ują i pięści, i rozchodzą się do domów.
. . . dnia — numer 6, 8, 13 czy tam inny jakiś,
. . . erka wędruje tymczasem na rękach swego ho-
. . . stajenki czy budy, by za trud poniesiony
. . . lauru i rozsławieniu swej rasy spożyć dob-
. . . posiłek, kto wie, może nawet pieczyste
. . . bo Paryżanie mają dobre serca . . .

**Stef. Krasiński**

**BRAVO! ET VOILA!**
Bożyszcze tłumów! Zwycięzca biegu! Już
. . . dzi na samym przodzie... Jeszcze skok...
jeszcze dwa susy . . . Brawooo!

# WRYŻÓW

# Okręt - Turysta

Łódź przewozowa stale kursująca po kanale.



Szyny, po których okręty wyjeżdżają na góry.

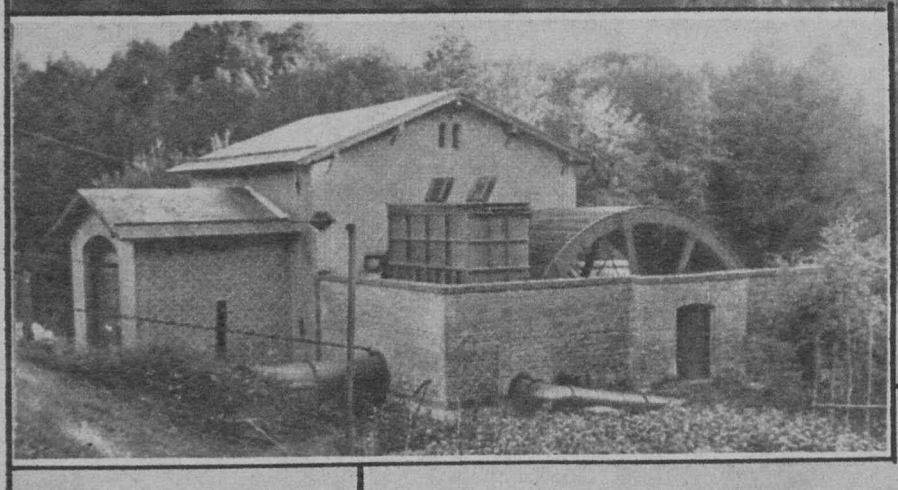

Łódź przewozowa jedzie przez jeden z progów kanału do najbliższego wodnego odcinka kanałowego, położonego o 20 metrów niżej.

Na lewo:
Na każdym z progów kanałowych wybudowano małą halę maszyn uruchomiających całe to urządzenie.

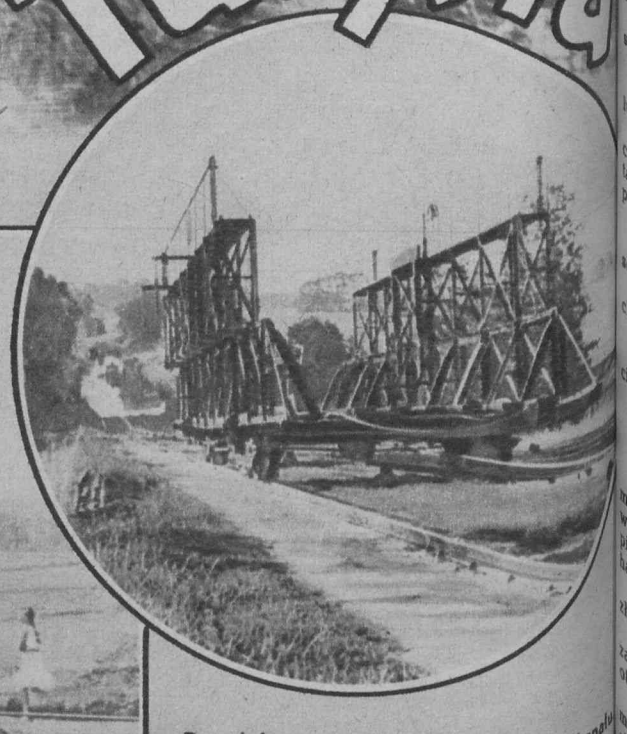

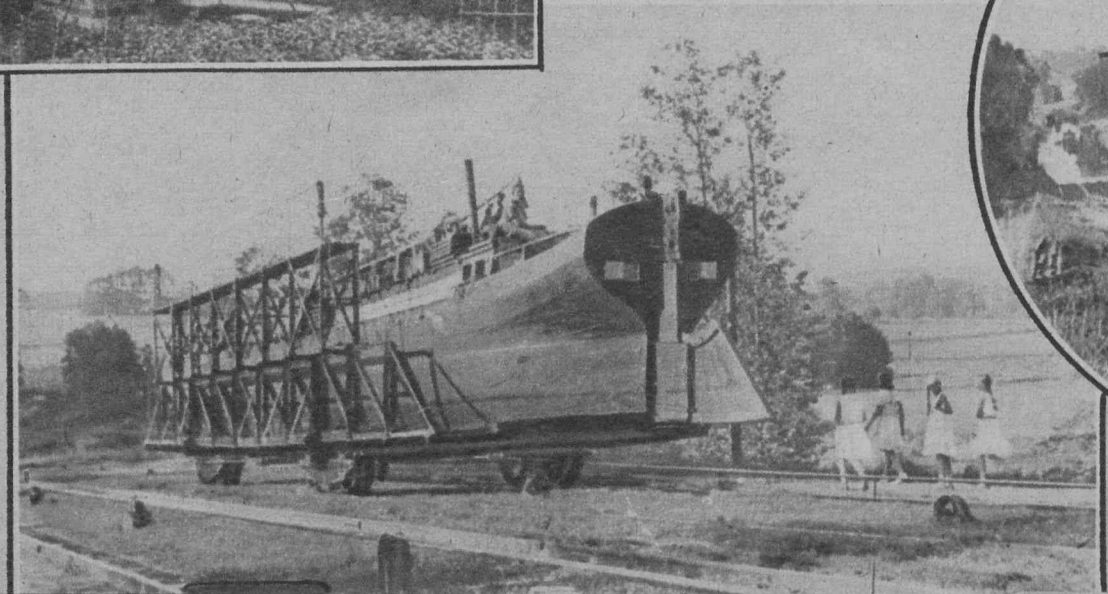

W okolicach, w których komunikacja między rzekami i jeziorami odbywa się na kanałach, wyrównuje się różnicę poziomów zazwyczaj przy pomocy śluz. Zupełnie inną metodę, uchodzącą swego czasu za cud techniki, zastosowano przy budowie jednego z kanałów w Prusach Wschodnich. Tu okręty płynąc z jednego jeziora do drugiego, położonego o sto metrów niżej, jadą dosłownie po górach i dolinach. Urządzenie to wybudowano w latach 1844—1861 i do dziś dnia jeszcze korzysta się z niego.

Fot: Schmidt-Schaumburg

Powyżej:
Na tym wozie jadą okręty przez progi kanału
Na lewo:
Łódź przewozowa gotowa do „podróży gór

# Kochany tatuś

A Gola zaczęła się napierać:

— I ja, i ja fcialabym zobaczyć.

Kucharka natychmiast ujęła dziecko pod pachy i podsadziła.

— No masz! Przyjrzyj się.

— Wcale do mnie nie podobna — obraziła się Gola.

— Podobna, podobna — upierała się przy swoim zdaniu Magdusia. — Podobna jak rodzoniusieńka siostrzyczka. Przecież wiadomo każdemu.

Lecz słysząc w sieni kroki cioci Tuni nie skończyła zdania, odwróciła się do chlebowego pieca i z całą energią zabrała się do ożoga.

— Co wy tutaj, w kuchni, robicie? — zdziwiła się ciocia, otwierając drzwi.

Nie lubiła, żeby dzieci wałęsały się po oficynie bez nadzoru. A Tereska, na jej widok, zerwała się z paki.

— I ty tutaj?

— Co nie mam być — odpowiedziała hardo.

— A czego chcesz?

Tereska wytrzeszczyła na ciocię Tunię ogromne straszne oczy.

— To pani niby nie wie czego ja chcę — wrzasnęła bardzo ostrym głosem. — Chcę się upomnieć o moją krzywdę...

I odmotując szybko dużą kraciastą chustkę, uniosła noworodka wysoko nad głową.

— Ot moja krzywda.

— Bój się Boga, Tereska, nie rób awantur przy dzieciach.

Wzruszyła ramionami ze złością.

— Dużo me une obchodzą. Niech wiedzą co się tutaj wyrabia w tym dworze. Jo swego nie daruję tak łatwo i panu dziedzicowi jeszcze dobrze sadła za skórę naleję...

Ale ciocia Tunia już nie czekała na więcej i spiesznie wypchnęła dzieciaki z kuchni.

Za drzwiami Zaza zauważyła:

— Już sama nie wiem komu mam wierzyć, a komu nie wierzyć. Tereska taka niby zła na tatusia, a przecież Walerka mówiła, że ona bardzo umie jemu dogadzać...

### SWATY

Dzieci zabawiały się zeskakiwaniem ze schodów ganku i marudziły jeszcze pod domem, gdy, oto, w bramie wjazdowej ukazała się wspaniała kasztanowata Otero.

Tatuś, po dłuższej konnej przejażdżce, powracał na koniec do domu.

Zoczywszy go Zaza zbiegła szybko z ganku i w radosnych podskokach pędziła naprzeciw ojca, lecz wyminęła ją Tereska.

Ona również dostrzegła nadjeżdżającego z kuchennego okna.

— Będzie tatusiowi sadła za skórę zalewać — przypominała sobie dziewczynka pogróżki eks-pokojówki.

A pan Jan również wyczuł niebezpieczeństwo. Skrzywił się na widok nadbiegającej i wrzasnął:

— A ty tu po co? Do stu piorunów. Przecież ci zabroniłem pętać się przy dworze...

— Dawniej to było inaczej — odpowiedziała hardo. — Dawniej to pan dziedzic chętnie mnie widział!

A była taka śliczna z tymi rozwścieczonymi szafirowymi oczami, z tymi jasnymi jak len bujnymi włosami wymykającymi się spod zielonej chusteczki, z tą zarumienioną oburzeniem twarzyczką, że złagodniał od razu.

— Więc czego chcesz?

— Chcę się z panem dziedzicem po ludzku rozmówić. O niech pan popatrzy...

I znowu zaczęła śpiesznie odmotywać swą kraciastą chustkę.

Zachnął się.

— Nie pokazuj. Nie chcę widzieć — ściągnął brwi z niezadowoleniem. — Ale krzywdy twojej wcale nie pragnę. Przeciwnie. Myślę o tobie i o twej przyszłości. Właśnie przed paru godzinami rozmawiałem o tobie z Szymonem Pazdurskim. Wychwalałem twoją pracowitość, twoją łagodność. Mówiłem mu, że lepszej matki dla swoich dzieci nie znajdzie, no i obiecałem mu krowę o ile zgodzi się na ożenek z tobą.

Zbladła jak ściana.

— Co? — wrzasnęła z oburzeniem. — I ja bym miała za mąż wychodzić za taką maszkarę?...

Wzruszył ramionami.

— Na grymasy już chyba nie pora. Też głupia dziewczyna! Ładnego męża się jej zachciewa, ale ja go nie mam w rękawie. Proponuję ci gajowego, bo on jeden wzamian za krowę, zgadza się na ożenek z tobą. A nie myśl, że mi to łatwo przyszło.

— Przecież to zbój. Ludzie powiadają, że własną żonę uśmiercił.

— Ale przy tym nie byłaś! Ludzie dużo potrafią przesadzić.

— Sześcioro tam dzieci.

— No więc cóż? Nieszczęścia w tym nie ma. Zawsze dzieci lubiłaś, więc i tamte polubisz.

Koń zaczął się niecierpliwić. Pilno mu było do stajni. Kręcił się w kółko na miejscu, parskał, grzebał ziemię kopytami, łypał przekrwionymi ślepiami na prawo, na lewo, więc pan Jan poklepał go po szyi.

— Stój, stój — powtarzał.

A Tereska, wpatrzona w niego jak w obraz, przypominała sobie dawne niepowrotne dni.

— Nigdy, nigdy go nie zapomnę... Oczarował mnie chyba...

A on uspokajał wierzchowca i dodał:

— No co tu dłużej gadać! Namyśl się, radzę ci po przyjacielsku, a wesele ci wyprawię...

I ruszył w stronę stajni cugowej.

### DWA PORTRETY FAMILIJNE

Pokój po mamusi był cały żółty. Żółta tapeta. Żółte adamaszkowe fotele. Żółte firanki w oknach, żółty puszysty dywan, żółte porcelanowe przybory na toalecie, żółty kaflowy piec, a także wspaniała atłasowa żółta kapa na łóżku, z wyhaftowanym złotym monogramem pośrodku.

Miły, wesoły pokój. Nawet w dnie słotne miało się tutaj złudzenie słońca.

Cóż się tam dzisiaj działo w tym pokoju. Drzwi, zawsze zamknięte na klucz od czasu wyjazdu mamusi, były teraz otwarte na rozcież..

— Może mamusia przyjedzie — cieszył się Zbyszek i tłumaczył małej Goli — która matki nie pamiętała — że mamusia wcale nie jest straszna.

— Ty się jej, głupia, nie bój — mówił z przejęciem. — Mamusia nic złego ci nie zrobi. Mamusia przywiezie ci dużo, dużo zabawek. Przywiezie ci pełne pudełka pierników. Mamusia jest dobra i ładna.

Ale Zaza zaprotestowała.

— Nieprawda! Nic mu nie wierz — wykrzyknęła z oburzeniem. — Mamusia wcale nie jest dobra, ani ładna. Mamusia jest brzydka i zła. Mamusia uciekła od tatusia.

— Ale wróci.

— Wcale nie wróci!

— No to dlaczego ten pokój po mamusi jest dzisiaj otwarty?

— Bo tatuś rozkazał Walerce otworzyć i wysprzątać.

Istotnie. Już od wczesnego ranku pan Jan krzątał się po tym pokoju razem z Walerką.

— Poroztwieraj okna — mówił do pokojówki — i wywietrz dobrze te perfumy. Brrr. Jeszcze je czuć...

— A czy mam zabrać dywan?

— Nie rusz. Zostaw wszystko tak jak jest.

— A tę kapę na łóżku czy też mam ostawić...

— Idiotka! Jak mówię wszystko, to wszystko...

Lecz rozmyślił się po chwili.

— No, może by należało zdjąć ze ściany te oto obrazy — rzekł wskazując palcem na dwa duże olejne portrety w ciężkich złoconych ramach.

Teść i teściowa.

Dwa urzędowe portrety pędzla mało utalentowanego, lecz bardzo drogiego artysty malarza, ulubieńca burżuazji.

A przedstawiały: siwowłosego jegomościa, siedzącego przy dobrze wypolitorowanym biurku z piórem w ręku i otyłą damę, w wydekoltowanej fioletowej balowej toalecie obwieszonej koronkami i klejnotami.

Walerka krytycznym wzrokiem spojrzała na ramy.

— Przecież sama nie dam rady.

— No to zawołaj sobie stróża do pomocy. Niech przyniesie drabinę.

— A jak się już zdejmie te obrazy, to gdzież mam je zabrać?

— Na strych.

— O rety! Takie śliczne obrazy!

## Rozmowy jesienne

*Czekam Cię co dzień wieczorami.*
*Czekam Cię co dzień nadaremno.*

*We snach mych schodzisz zjawą ciemną,*
*Widzę Cię w odrzwiach mego domu,*
*Słyszę szelesty Twojej szaty,*
*Czuję Twój oddech ponade mną,*
*Podścielam Tobie białe kwiaty.*
*Śpiewam to szczęście pokryjomu*
*I chłonę w siebie Twoją duszę,*
*By nie zdradziła się nikomu,*
*Że z nią jedynie zostać muszę.*

*Czekam Cię co dzień wieczorami.*
*Czekam Cię co dzień nadaremno.*

*Jerzy Soplica*

— Może dla ciebie... Ale co będę gadał. Rób jak ci każę i siedź cicho.

Zapalił papierosa i miał już wyjść z pokoju, gdy oto, najniespodziewaniej, nadeszła ciocia Tunia.

— Co wy tutaj robicie? — zdziwiła się. Dlaczego ten pokój otwarty?

— Bo trzeba wysprzątać porządnie.

— Był sprzątany onegdaj.

— Być może, ale mam zamiar przenieść tu pannę Lili...

— Co? Do tego pokoju? Przecież to jest najładniejszy pokój z całego domu.

— Więc tym bardziej niechaj ktoś z tego skorzysta. Ale co tu długo gadać. Piec dymi w pokoiku u bony i trzeba będzie przestawić.

— Skąd ci się to wzięło? Wcale nie dymi.

Machnął ręką z niecierpliwością.

— No dosyć.

— Ależ Jasiu! Zastanów się, proszę. Wszystkie bony, jak dotąd, zawsze zajmowały ten mały niebieski pokoik i dobrze było. Bona powinna być blisko dzieci.

— Przecież jej nie zabieram do Honolulu. Przez korytarz nie będzie daleko od dzieci. Zresztą nie bądź naiwna. Cóż to takiego? Czy masz zamiar zrobić z tego pokoju sanktuarium, kaplicę...

I z czarującym uśmiechem poklepał swą kuzynkę po ramieniu.

— No, Tunia; nie irytuj się proszę..

Rozbrajał ją zawsze tymi uśmiechami.

— Wcale się nie irytuję. Trudno. Zrobisz jak zachcesz. Ale właśnie chciałam ci powiedzieć, że uważam pannę Lili za nieodpowiednią do opiekowania się dziećmi.

Wzruszył ramionami.

— Wy, kobiety dziwne jesteście. A cóż masz jej do zarzucenia? Zresztą powiem ci szczerze, że nie mam najmniejszego zamiaru wydalać jej. Skąd mogę mieć pewność, że trafię na lepszą bonę? Jej poprzedniczka miała suchoty, co nie jest pożądane. Ta przynajmniej jest zdrowa. Przyznaję ci, że głupia to ona jest jak stołowe nogi, ale trudno mi wymagać od bony mózgu Napoleona.

Pocałował kuzynkę w obie dłonie, ujął pod ramię i wykręcił ją w stronę portretów.

— Patrzaj i podziwiaj — uśmiechnął się łobuzersko. — Przyjrzyj się dobrze temu, oto, namalowanemu jegomościowi. Stary wyga. To jedno mnie cieszy, że zerwałem z nim stosunki na wieki wieków. A okpił mnie zdrowo na posagu. Śmieszna figura. Poważny i zamyślony siedzi sobie na tym portrecie z piórem w ręku, a z ortografią był zawsze na bakier. Pisał „żądam" przez rz, a wtorek przez f.

— Żartujesz — zaśmiała się Tunia.

— Wcale nie żartuję. Ale mniejsza. Niech go tam jasne pioruny...

Wykręcił się na pięcie, westchnął z udanym smutkiem i mówił dalej:

— On, jak on jeszcze pół biedy, ale tej opasłej babie w fioletowej sukni nigdy, nigdy nie wybaczę. Dosyć mnie nadręczyła. Uważała, że nie jestem dosyć dobrym mężem...

— Bo też przyznaj, że nie byłeś zbyt dobrym. Zdradzałeś żonę na prawo i lewo.

— A ona? Czy została mi wierna?

— Tyś zaczął.

— Co wolno mężczyźnie...

— To tobie się tak zdaje.

— No, nie dyskutujmy na ten temat, bo nawet ta baba na portrecie gotowa się roześmiać. A nudna była jak flaki z olejem. Te jej spostrzeżenia! Spytała mi się kiedyś: — Czy wiesz Janeczku od czego się ma odciski na nogach? — Naturalnie, że po takim zapytaniu spodziewałem się czegoś niezwykłego, a ona najspokojniej dodała: — Od ciasnego obuwia, kochanie! Tak, tak od ciasnego obuwia... Myślałem, że mnie szlag trafi. Emetyk mówię ci. Emetyk niczym...

— Uaaa — wybrzydził się — zawsze po rozmówce z nią miałem ochotę przejechać się do Rygi.

— Przesadzasz jak zwykle. Przecież ją znałam. Nieraz tutaj przyjeżdżała. Ot poczciwa stara babina bez pretensji.

— Ale chytra jak lis. Te sidła, które na mnie zastawiała przed ślubem...

— Myślałam, że się ożeniłeś z miłości.

— I mnie się tak zdawało podczas narzeczeństwa i przez pierwszych kilka miesięcy poślubnych. Cóż chcesz? Młoda i ładna żona grała mi na nerwach, ale opamiętałem się prędko. Już po roku małżeńskiego pożycia przejrzałem na oczy. Wszystko w niej zaczęło mnie drażnić, irytować. Nieraz wyłaziłem ze skóry. Ta udana dystynkcja, to ciągłe mizdrzenie się przed lustrami, te krzyczące toalety, ten śmiesznie zadarty w górę mały paluszek...

— Ale chyba przed ślubem miała te same maniery, więc dobrze wiedziałeś, że żenisz się nie w swojej sferze.

— Nie zapieram tego bynajmniej. Wiedziałem. I jak jeszcze wiedziałem. To też muszę przyznać, że już przy ołtarzu myślałem o rozwodzie.

— Ej Jasiu! Czyż to się godzi? Czyś nigdy o tym nie pomyślał, że będziesz miał dzieci?

Roześmiał się.

— Dzika pretensja. Za wiele ode mnie wymagasz. Przyznaję, że teraz jestem do dzieci bardzo przywiązany. Brakowałyby mi. Ale wtedy — wtedy gdy nie było ich jeszcze na świecie — trudno jest żądać ode mnie bym je już kochał i z całym zaparciem myślał o ich przyszłości.

### „EMETYKA"

Gdy nadszedł stróż z drabiną dzieci, zbite w kupkę na korytarzu, zaciekawiły się ogromnie.

— A co się tam będzie robić — dopytywały się Walerki.

Ale dziewczyna, zajęta usuwaniem foteli i przystawianiem drabiny do ściany, nie miała czasu na objaśnienia. Więc gdy po chwili tatuś i ciocia Tunia, rozmawiając ze sobą z ożywieniem, przeszli do salonu, dzieci już wytrzymać nie mogły z ciekawości.

Tupiąc i popychając się wpadły do pokoju po mamusi jak stado rozbrykanych cieląt.

Były bardzo zaintrygowane.

— A kto będzie tutaj mieszkał — dopytywała się Zaza.

— Panna Lili — odburknęła kwaśno pokojówka i przytrzymując oburącz drabinę, na którą stróż miał zamiar się wspinać, mamrotała, swoim zwyczajem, pod nosem:

— Pokój! Pokój! Zachciało się ładnego pokoju! Już jo bym jej dała pokój, że ażby jej w pięty poszedł. Taką jak una to bym na śtyry wiatry przepędziła... Ale cóż? Pon dziedzic woli się z nią cackać jak ze skarbem.

— A co ci to przeszkadza?

— Mnie mało przeszkadza, ale wam, bachorom, to jeszcze da się ona dobrze we znaki. Jak już raz w tym to pokoju zamieszka, to już chyba kuniec świata nadejdzie. Pokiełbasi się jej w głowie do cna. Za jaśnie panią będzie się tutaj podawała.

Ale Zaza była ciągle innego zdania.

— To bardzo dobrze — aprobowała — panna Lili będzie miała nakoniec taki śliczny, duży, wesoły pokój.

— Chodź Gola — namawiała siostrzyczkę — pomożemy pannie Lili przy przenoszeniu rzeczy. A potem będziemy się tutaj bawić w chowanego.

Tymczasem stróż wygramolił się na drabinę i zaczął zdejmować obrazy, więc Zbyszek, z rozdziawioną buzią, wpatrywał się w niego.

Miał ogromną ochotę dopomagać mu w tej czynności i dopytywał się czy obrazy są ciężkie.

— Ja bym z pewnością dał radę.

Po zdjęciu siwogłowego jegomościa zabrano się do otyłej damy.

— Taka babunia tu śliczna — kiwał głową malec i spytał: — Dlaczego tatuś każe zdejmować te obrazy?

— Bo zawadzają.

— Komu zawadzają?

— Pannie Lili.

— A czy będą teraz wisieć w salonie?

— A juści! Na strych ma się je wynieść.

— Nieprawda — oburzył się chłopczyk. — Babuni na strych nie wolno wynosić.

Bardzo kochał swoją babkę i dobrze ją pamiętał. Był jej faworytem. Pieściła go, opowiadała mu bajeczki, obsypywała go prezentami, doglądała podczas odry.

— Nie, nie — potrząsał przecząco głową. — Ja nie dam babci wynosić.

I w swym oburzeniu — zaczerwieniony jak mały kogucik — wpadł do salonu i wykrzyknął:

— Dlaczego Emetykę wynosi się na strych?

— O kim ty mówisz? — zdziwiła się ciocia Tunia, pochylając się nad malcem.

— O babuni. O mojej drogiej, kochanej babuni. Ja nie pozwalam wynosić jej na strych.

— A dlaczego przezywasz ją „Emetyka"?

— Bo tatuś zawsze ją tak nazywa.

— Co wolno tatusiowi, to tobie nie wolno. Niegrzeczny jesteś. Powinieneś odzywać się o babuni z poszanowaniem.

Chłopczyk wytrzeszczył zdumione oczy.

— Ja . . . ja . . . z poszanowaniem — wyjąkał i spojrzał błagalnie na ojca.

— Tak, tak — uśmiechnął się pan Jan. Zostaw go Tuniu w spokoju. Przecież „Emetyka" to jest bardzo zaszczytny tytuł. Coś w rodzaju „kanoniczki" albo „pani mecenasowej"...

### BEZSENNE NOCE

Ze zmianą pokoju nastąpiły i inne zmiany.

Wieczorami, późno, nieraz do drugiepj, trzeciej nad ranem, tatuś — nie wiadomo dlaczego — zasiadywał się teraz w pokoju u panny Lili.

Zaza dobrze słyszała gdy tam wchodził.

Widocznie bardzo polubił ten żółty pokój gdyż wniósł tam gramofon. Bawił się nim. Puszczał go w ruch.

A najbardziej lubił skoczne wesołe piosenki, więc przeważnie takie płyty zakładał, chociażby były najstarsze i już dobrze wytarte.

Nagle jakiś pijacki ochrypły baryton ryczał na całe gardło:

„A tam facet w celenderze
chwycił Mańkę mą
i do tańca już ją bierze
tak jakby znał ją . . ."

I jeszcze jakieś skoczne oberki, tanga, mazury, walce lub ludowe piosenki:

„Oj w lecie, w lecie słońce gorące
pasła dziewczyna krowę na łące
I podszedł do niej szlachcic z zagrody
I zaczął zajmać krowę za szkody . . ."

Zdarzało się jednak, że pod rękę tatusia lub panny Lili nawinęło się coś poważniejszego. Nagle dzwony bić zaczynały przepięknym pogrzebowym marszem lub jakaś cudna rzewna pieśń zrywała się do lotu.

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie . . ."

Płakała, jęczała, zawodziła, a potem opadała i konała w zgrzycie i kakofonii dysonansów.

Oboje, zarówno tatuś jak panna Lili, stale zapominali zdjąć na czas płytę lub nakręcić w porę instrument.

Zaza, leżąc ze splecionymi rączkami na swym łóżku, nieraz całymi godzinami wsłuchiwała się w tę muzykę.

Zasnąć nie mogła.

Wprawdzie jej słuch nie zawsze chwytał melodię, nie zawsze rozumiał. Te dźwięki nieraz były dla niej chaosem, lecz instynktownie wyczuwała, że to jest coś niesłychanie wzniosłego i pięknego.

Zbierało się jej na płacz.

— To jest bardzo nerwowe dziecko — orzekł kiedyś stary doktór Berens z sąsiedniego miasteczka.

A tu muzyka coraz bardziej wypełniała pokój, wzbijała się pod sufit, rozsadzała ściany i rozstrajała nerwy małej dziewczynki.

— O Boże! Boże! — wzdychała Zaza. — Kiedyż nareszcie ustanie ta muzyka, kiedyż nareszcie tatuś wyjdzie od panny Lili.

Zazdrosna była.

Miała ochotę zawołać: — tatusiu! tatusiu! — Chciała żeby do niej przyszedł, usiadł na jej łóżeczku i z nią się popieścił. Chciała zarzucić mu rączki na szyję i uściskać go z całej mocy.

Spoglądała, z dreszczem trwogi, w niezasłonięte okna pokoju.

Widziała wyraźnie, tam het za szybami, szamotaną wichrem bezlistną młodą akację, zasadzoną kiedyś przez mamusię.

Ale o mamusi Zaza wolała nie myśleć. Nigdy, nigdy, jej nie wybaczy, że od tatusia uciekła.

Widziała wyraźnie ciemne wierzchołki drzew klombu, nad którymi migotały gwiazdy. A zdawały się takie zimne, takie obce, takie nieskończenie dalekie.

Chwilami wytężała słuch.

— O czym też oni mogą tak długo rozmawiać po nocy — dziwiła się.

Od czasu do czasu jakieś pojedyńcze, głośniej wymówione słowo, dobiegało do jej uszów.

— Jasiu! Jasiu! — piszczała histerycznie bona, a Zaza oblerzała się.

— Jak ona śmie mówić po imieniu do tatusia . . .

Spoglądała na majaczące w ciemnościach pokoju łóżeczko małej Goli. Na obnażone nóżki dziewczynki i cichutko zsuwała się z pościeli, by z troskliwością matki przykryć zziębnięte maleństwo.

Patrzała na śpiącego Zbyszka. Malec leżał zwykle z twarzą wciśniętą w poduszkę, a jego jasne długie loki podnosiły się i opadały od zduszonego oddechu.

— Szczęśliwy — wzdychała. — On nic nie wie, nic nie słyszy. Ja także chciałabym tak spać.

Ale nie mogła.

Drżała na całym ciele, a po jej rozpalonych policzkach spływały łzy, których nawet nie czuła.

— Ta mała czegoś bardzo mizerna — mówiła ciocia Tunia do tatusia. — Trzeba na nią uważać, a o ile się nie poprawi zawiozę ją do Warszawy do jakiegoś dobrego doktora.

### DRUHNY

Gdy dzieci, powracając ze spaceru, wpadły do domu zdziwiły się bardzo zastając w korytarzu dwie młode wiejskie dziewczyny.

— Takie śliczne — szepnęła Gola Zazie na ucho.

Były istotnie śliczne. Wystrojone odświętnie i bardzo barwnie. Czerwono, zielono, biało, żółto, pomarańczowo. Cała tęcza najjaskrawszych kolorów.

Wprawdzie w tych podwarszawskich stronach ludność zarzucała po trochu ludowe stroje i przy święcie starała się małpować miejską odzież. Po partacku uszyte garnitury zastępowały sukmany, a kapelusze cudaczne zastępowały chusteczki, ale te dwie dziewczyny miały na sobie coś jakby krakowskie kostiumy.

*Dalszy ciąg nastąpi*

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900


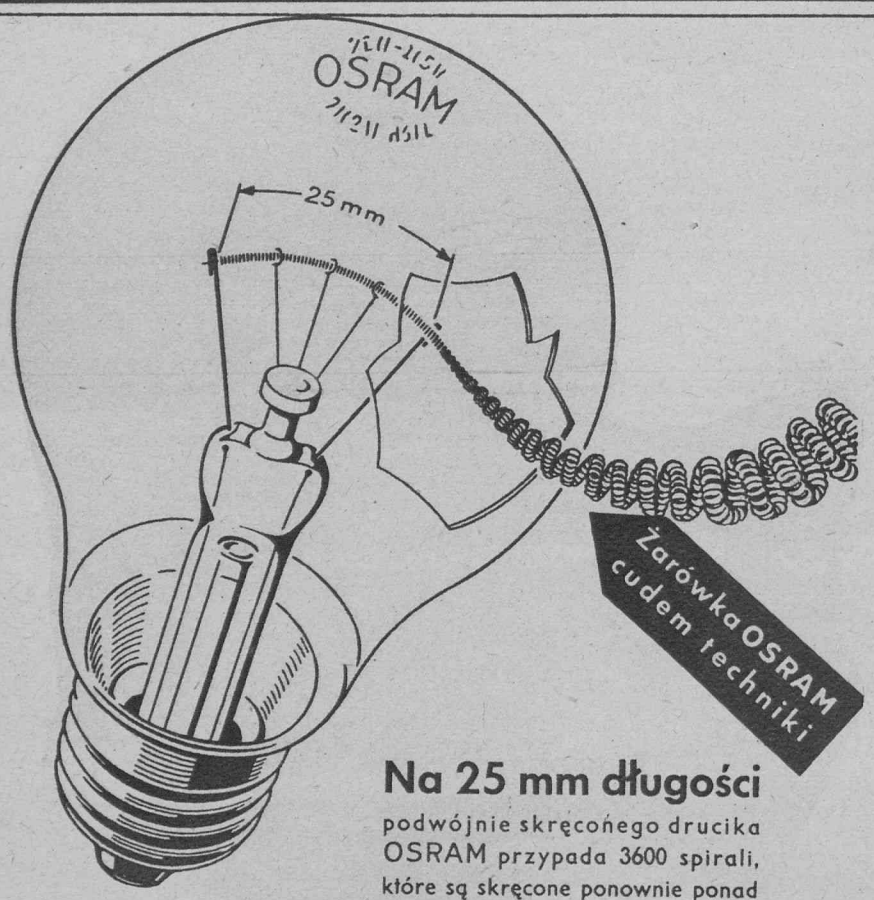


**Na 25 mm długości**

podwójnie skręconego drucika OSRAM przypada 3600 spirali, które są skręcone ponownie ponad sto razy. To arcydzieło techniki OSRAM daje rękojmię najwyższej wydajności świetlnej.

» OSRAM « oszczędza również prąd.

Osiągnięte WYNIKI gwarantują za:

**OSRAM**

**dużo światła — mało prądu.**

SŁYNNA WRÓŻKA MARY trafnie przepowiada przeszłość i przyszłość Lwów Sobieskiego 10 m 6

Dr. L. Kinowski wener. skórne WARSZAWA, Żurawia 13, godz. 10-11 i 3-6

Dr. JERZY SZULTZ Kob. Akusz. Chir. Warszawa, Skorupki 8 m. 6 tel. 899-63 godz. 3—5

Dr. med. J. EHRENKREUTZ skór. i weneryczne Warszawa Nowy-Świat 37 m. 11

POŁOŻNA SKWARSKA przyjm. cały dzień WARSZAWA Nowogrodzka 29 m. 38

Dr. med. ŻURAKOWSKI specj. chor. skórn. i pęcherza WARSZAWA Chmielna 25 11—1 i 3—6

SŁYNNY WIZJONER WARSZAWA Hoża 41 m. 2 przyszłość, straty, kradzieże, losy oddalonych, zdrowie (diagnozy) sprawy miłosne. Porady 4—6 popoł.

KONCESJONOWANY Chrześcijański Sklep Komisowy Kraków ul. św. Tomasza 26

OBRAZY, DYWANY, ANTYKI kupuje sprzedaje »PHRYNE« KRAKÓW, SŁAWKOWSKA 6

Zakopianki, śniegowce, pantofle, drewniaki poleca: Firma „Szczepko-Tońko" Kraków, Hala Targowa 22

**PRZEZ CAŁY DZIEŃ**
odczuwa Pani przyjemne skutki odświeżenia się

**Vasenol**

**PUDREM DO CIAŁA**

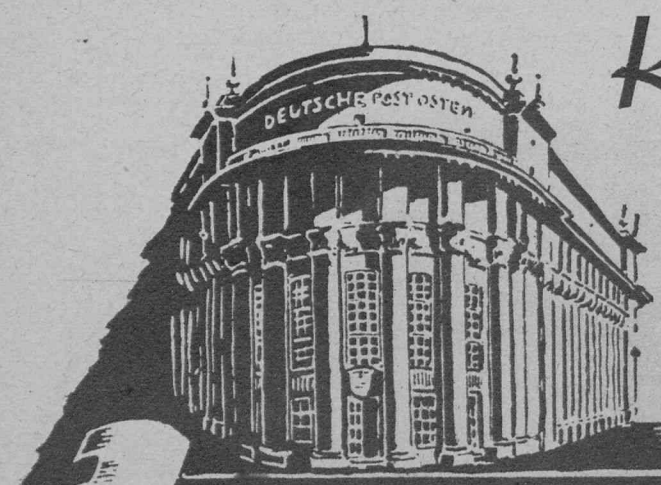


*Korzystaj*

Z OBROTU CZEKOWEGO

i OSZCZĘDNOŚCIOWEGO

NIEMIECKIEJ POCZTY WSCHODU

# Niedziela cioci Mani

Świątecznie było i przytulnie od rana. Nie-akręcony budzik tykotał z bezsilnej złości, ade promyki słońca, otarte o szare ściany amienic, wlewały resztę blasku do małego okoiku na czwartaku, którego okno wy-ylało się gościnnie na ich przyjęcie i nie rodziło drogi żadnymi roletami, czy za-rostkami.

Dziewiąta godzina! Ciocia Mania rozpro-owała nogi pod kołdrą, czując każdym ner-em ciepło i wygodę miękkiego łóżka i miłą wiadomość próżniactwa niedzielnego. Sto-przy łóżku zgiął się w wytwornym pół-lonie, podając na jasnym blacie toaletowe obiazgi. Rzut oka na zegarek przekonał ocię Manię, że zdąży się ubrać, zjeść śnia-nie i pójść do kościoła, a może urwać mi-utkę na przyjemne wylegiwanie się w łóżku.

Wreszcie trzeba było jednak wstać. Przy-ą sprawą było zwykle ubieranie. Rozlewna figura cioci Mani nie mogła, ani rusz, upo-rzonić się do wysmukłej sylwetki nowocze-snej pani. Potężne biodra rozsadzały spód-ce tailleur, a klockowate nogi stanowczo ały stworzone do przebywania w zacisznych wojach halek, falbanek i sukien z trenami. Jednak moda ma swoje prawa, a docinki rowych koleżanek lepiej uczą dbania własną figurę, niż najrozsądniejsze rady ekarza-higienisty. Figlarny promyk słońca niedzierał się przez zwoje batystów, zło-ią „strzałką" zdobił jedwabne pończochy, rzewieszone przez poręcz krzesła i bujał etrasobliwie wśród fałd niedzielnej su-ienki.

Ten wiosenny ranek dziwnie nastrajał erce cioci Mani. To serce, co nasiąkło zgry-otą lat, jak gąbka wodą błotnistą, parowało raz w cieple słonecznym; pył osiadał głę-ko, na dnie, a wszystkie pory gotowe były ołaniać nowe, nieprzerywane uczucia. dne serce „starej panny", jakby powie-iano przed dziesiątkiem lat — „kobiety ezależnej", jak się mówi dzisiaj.

Ciocia Mania wierzyła niezłomnie w „wiecz-ą młodość" kobiety, głoszoną hałaśliwie — aż za bardzo hałaśliwie! — przez reklamy ów, ziół, kremów i pudrów. A jednak od au do czasu jakaś myśl, przyczajona ewietrzonym od lat zakątku mózgu, prze-ała ją. Czterdziestka za pasem! Co innego iety zamężne, dla których mąż jest etną okładką dla metryki, ale samotna, amężna kobieta... Zawsze znajdą się , co przypomną jej lata!

Dziś jednak ciocia Mania czuła się dziw-młodo. Jakieś niejasne przeczucie wiro-o dokoła jej głowy, muskając włosy mo-mi skrzydłami pragnień. Ubrała się s.a-niej, niż zwykle, i z zadowoleniem stwier-ła, że wygląda niezgorzej. Cudne, czyste ietrze, przesycone rzeźwymi woniami, ewem ptaków i przemożną radością bu-ego się ze snu życia, spłukało resztę ku, a jakaś zbłąkana pszczoła, szuka-pierwszych wiosennych plonów napeł-jej duszę tkliwością i dobrocią. Z ko-a poszła na spacer, jak zwykle w nie-le. Ale tym razem szła sprężyście, ryt-nie, młodo. Drzewa zażenowane, jak iołki, chowały ukwiecone głowy za bar-te ramiona sztachet; parki śmiały się barw i drzwoniły dziecinnym uśmie-m.

Jakaś mała dziewuszka, tłuściutka, jak ja, wypadła z bramy parku, wtaczając wprost w ramiona cioci Mani. Zderzenie rzyło obydwie. Dziewczynka rozkrzyżo-rączki i zachwiała się na pulchnych nóż-. W jednej chwili przytrzymała ją cio-Mania. Spojrzały na siebie z sympatią chwili młoda sportsmenka pędziła znów że tylko migały jej czerwone skar-a czarne warkoczyki skakały i tań-dokoła głowy.

Dzień dobry, pani Mario! zgubiła pani ke w tej przygodzie — odezwał się ja-wesoły głos.

Wróciła się, zmieszana, jak sztubak, apany na ściąganiu.

Ach, bardzo panu dziękuję! — torebka wędrowała z powrotem do jej rąk i przy-wała czujnie przy boku.

Bardzo dziękuję — powtórzyła raz e, podając mu rękę.

szyli razem w aleje. Rozmowa skakała, wróbel w dzień letni. Tyle spraw mieli ież wspólnych!

Ile to już lat pracujemy w jednym wy-e? — padło wreszcie pytanie.

Dziesięć lat! Tak, tak, czas leci! Ale ni mamy ogromną pomoc! Pamiętam, u nas przedtem panienka, też Maria, asposobienie... biegunowo przeciwne. yscy koledzy za nią szaleli. Nawet szefa ża ujeżdzić. Wyszła za mąż po trzech ięcach. Co to było roboty potem, zanim sięgi doprowadziło do porządku! Z pa-o przynajmniej miło pracować.

miechał się uprzejmie, błądząc nieobec-wzrokiem po jej nowym kapeluszu ecznych rękawiczkach, pozwalających ć arystokratyczny kształt rączki. Cio-Mania nie umiała określić swego uczu-Było jej równocześnie miło i niemiło. I wstydziła się tego dziwnego uczucia niezadowolenia, jak czegoś niskiego, niegodnego. Zaczęła mówić prędko, prędko, aby zatrzeć myśli, kołujące uparcie w głowie.

— Dowiedziałam się wczoraj od siostry, że państwo się znacie, a i Wandeczka mi wspominała, że pan u nich bywa. Nic o tym nie wiedziałam.

— O, to dopiero niedawno. Pannę Wandę poznałem w czasie ostatnich świąt. A pani często bywa u siostry?

Pytanie zakołowało, jak szabla zręcznego szermierza, który, udając napad, sam broni się od zbyt natarczywego ataku.

— Co niedziela bywam u nich. Dziś też po obiedzie się wybieram. Zosia chciała się nauczyć jednej robótki, a Wandeczka prosiła mnie o jedwabną chusteczkę, gdyż spodziewa się dziś jakiejś miłej wizyty.

Twarz mężczyzny drgnęła nagle, jakby ją sparzył gorący pocałunek słońca.

— W takim razie zobaczymy się po południu, bo ja też wpadnę do siostry pani.

Zatrzymali się przed bramą. Wargi Kalińskiego przylgnęły na chwilę do gładkiej rękawiczki, a potem uniosła się twarz radosna i promienna.

— Jak pani dziś ślicznie wygląda! Co za szyk! Wydaje mi się, że widzę panią po raz pierwszy!

W pokoiku na czwartaku ciocia Mania chwyciła gorączkowo lusterko. Oczy przebiegały po odbiciu, chcąc wyszukać zmarszczki, pryszcze, jakiekolwiek oznaki minionej młodości. — Czy to słońce sprawiło? — Patrzyła na nią twarz młoda! Młoda! Wrażenie chwyciło ją za gardło. Zadyszana, opadła na kanapkę i znów te słowa, te cudne słowa, zabrzęczały jej nad głową. Serce wezbrało radością tak wielką, jak tylko może pomieścić ta mała skarbnica uczuć ludzkich. Półtrwożne oczekiwanie zniknęło. Zdawała sobie jasno sprawę z tego, do czego podświadomie dążyła, i nie przeraziła się! Przeciwnie, wierzyła, że to się stanie.

Obiad minął w jakimś radosnym upojeniu, w jakiejś ekstazie po prostu. O czwartej już była na Elektoralnej i dzwoniła do mieszkania siostry. Otworzyła jej drzwi sama Wandeczka, ubrana w swą najładniejszą sukienkę, z uroczystym i zażenowanym wyrazem twarzy.

— Ach, ciocia! Jak to dobrze! A ta chusteczka? Cudownie! Dziękuję, dziękuję... ale ja mam jeszcze jedną prośbę... — urwała, pomagając powiesić palto na wieszaku.

— Co, dzieciaku? — pytanie uśmiechnęło się radośnie.

— Ciociu, bo rodziców jeszcze nie ma, a pan Kaliński w salonie. Ciocia wie...

Rzęsy zatrzepotały wstydliwie, lecz po chwili uniosły się odważnie w górę.

— Dobrze, dziecko, dobrze, zabawię go do czasu powrotu rodziców, bądź spokojna! — Dzieciak, nie umie jeszcze rozmawiać z mężczyzną.

W salonie Kaliński zgiął się w miłym półukłonie. Boże mój, dlaczego on taki wystrojony? — spojrzenie ześlizgnęło się aż do eleganckich lakierków. — Czyżby? — Fala radosnego przeczucia objęła ją ciepłem. Usiedli. Kaliński robił wrażenie młodego, bardzo młodego... — Czyżby był młodszy ode mnie? — przebiegła szybka myśl.

Rozmowa się nie kleiła. Za ścianą słychać było drobne kroczki Wandeczki, kręcącej się koło drzwi wchodowych. Wreszcie Kaliński poruszył się niespokojnie na krześle i urwał w pół słowa jakieś banalne zdanie. Ciocia Mania spojrzała zdziwiona.

— Wie pani, mam do pani prośbę... — zaczął niepewnie.

Wzrok przylgnął do jego twarzy i zadygotał.

— Chodzi o pannę Wandeczkę, o Wandeczkę — poprawił się niezgrabnie. — Chciałem dziś omówić z rodzicami sprawę naszego ślubu, gdyż Wandeczka zgodziła się z góry na moją decyzję. Chodzi mi o pewne formalności... — spojrzał na uśmiechniętą uprzejmie twarz cioci Mani. — Ja mam zajęcie dziś wieczór, to jest właściwie przyjemność... Mamy iść z Wandeczką do teatru, no i trochę na muzyczkę... Jeżeliby pani pomówiła?... — głos zawisł w niepewności.

— Ależ naturalnie! Winszuję panu serdecznie... Idźcie, idźcie, ja tu porozmawiam z Olkami.

Drzwi wchodowe szczęknęły. Dopiero wtedy z twarzy cioci Mani spełzł blado-uprzejmy uśmiech, a z oczu wyjrzała głęboka, czarna zaduma. Twarz zszarzała, jak twarz aktora po zdjęciu szminki. Machinalnie wygładzała palcami fałdę serwety, którą zgniotły jej palce. Ocknęła się nagle i cofnęła rękę. Powoli, powoli płynęły godziny. Olków wciąż nie było. Szary mrok spadł na pokój i otulił biedną przygarbioną postać.

Za oknem krwawiły się wielkie litery reklam: „Wieczna młodość"...

**Kazimierz Laudan**

Brygida miała urocze złote włosy, boskie błękitne oczy, a usteczka o niewysłowionej czerwieni. Kochałem ją.

W czasie długich godzin spędzonych w rozkosznym sam na sam, gdy wskazówka zegara bezlitośnie wskazywała uciekające chwile, myślałem często, nie ośmielając się tego wymówić:

— Gdybyś mnie kiedy zdradziła, Brygido, byłbym najniejszczęśliwszym z ludzi...

Miesiące płynęły. Mój przyjaciel Leopold spędzał teraz z nami często wieczory. Pewnego dnia wyszedł wcześniej i zostawił nassamych. Zauważyłem wówczas, że włosy Brygidy były po prostu blond, oczy zwykłego niebieskiego koloru, a wargi normalnie czerwone. Toteż bez wahania powiedziałem:

— Gdybyś mnie kiedyś zdradziła, Brygido, odebrałbym sobie życie!

Brygida pochlebiona tym, schroniła się w mych ramionach:

— Ależ to szaleństwo, Janku! Wiesz, że kocham tylko ciebie.

W tej chwili miałem wrażenie, że kochamy się gorąco, a nawet, że groźba moja była szczera.

Od tej chwili, ile razy włosy Brygidy wydawały mi się żółte, oczy z niebieskiego fajansu, a usta konwencjonalnie czerwone, wołałem głośno:

— Gdybyś mnie kiedy zdradziła, Brygido, odebrałbym sobie życie!

Na próżno jednak usiłowałem zmieniać intonację raz żałosną, kiedy indziej gniewną lub groźną: wyrazy utraciły dla mnie pierwotny sens. Wymawiałem je machinalnie.

Brygida wciąż usposobiona romantycznie, uspakajała mnie z lękiem:

— Mój złoty, ubóstwiany Janku, przestań już mówić takie rzeczy. Kocham przecież tylko ciebie.

II

Pewnego poniedziałkowego wieczoru, Brygida odprowadziła Leopolda do przedpokoju i zdawało mi się, że doleciał mnie stamtąd odgłos pocałunku.

Nazajutrz w godzinach popołudniowych, kiedy Brygida myślała, że jestem w biurze, stanąłem na ulicy przed bramą, oznaczoną numerem 22. O trzeciej ujrzałem Leopolda, który z bukietem fiołków w dłoni wszedł do bramy naprzeciwko, oznaczonej numerem 23.

Następnego dnia stawiłem się na mój punkt obserwacyjny o godzinie 2-giej minut 35. Miałem przed sobą dobre pół godziny. Leopold miał przyjść dopiero o trzeciej. Czas mi się dłużył. Przeszedłem przez ulicę, wszedłem do bramy, oznaczonej numerem 23. Wdrapałem się na czwarte piętro i znalazłem się w mieszkaniu mej przyjaciółki.

— Brygido — oświadczyłem jej najgłupiej w świecie. — Czekasz na Leopolda.

Przyznała się natychmiast. Płakała. Przez grzeczność i ja zaszlochałem. Wołała, że jest nieszczęśliwa. Ja wołałem, że nędzna.

Brygida ocierała sobie oczy i pokrapiała obficie łzami chusteczkę. Oparty o parapet okna, wyrzucałem sobie w głębi duszy, żem niepotrzebnie wywołał tę całą scenę. Myślałem ponadto o tym, że w tym czasie który tu tak głupio tracę, koledzy moi tak świetnie bawią się na imieninach u Mariana, na które i ja byłem szczerze zaproszony.

Wziąłem kapelusz, kierując się ku wyjściu.

Brygida zerwała się z miejsca:

— Boże mój, jakie to straszne! Dokąd idziesz?

— Nigdzie. To cię nic nie powinno obchodzić.

— Nie potrzebujesz mi mówić... Kochany mój... Drogi! Ja zgaduję!... Chcesz się zabić! To okropne! Och, to moja wina... Tyle razy mnie uprzedzałeś!... Janku, mój Janku!...

Przypominałem sobie tylekroć powtarzaną groźbę. Wstyd mi było, że jeszcze żyję.

Brygida zemdlała.

Namyślałem się, co robić.

Kupić rewolwer, strzelić do siebie i chybić? A nuż roztrzaskam przy tej okazji jakiś przedmiot, który lubię? Nalać wody z kranu do buteleczki z etykietą „laudanum" i wypić to w oczach przyjaciółki? Można nabawić się tyfusu z surowej wody!

Brygida odzyskała przytomność:

— Jesteś tu ukochany! Ach, jak to dobrze!... Nie odchodź! Zostań, zostań!...

Gdybym został, uważałaby mnie za tchórza. To też, odsunąłem ją gestem tragicznym i wyszedłem do przedpokoju. Za mną rozległo się szlochanie:

— O, Janku, błagam cię! Obiecuję, że nigdy, nigdy więcej nie stanie tu noga Leopolda! Przysięgam ci! Nie otworzę mu teraz drzwi.

III

Gdy zamknąłem za sobą drzwi jej mieszkania, spojrzenie moje padło na sznur od dzwonka. Wybór mój był dokonany. Powieszę się.

Dzwonek będzie tym narzędziem, które pomoże mi w odpowiedniej chwili sprowadzić pomoc bez poniżenia z mojej strony.

Zrobiłem pętlę ze sznura od dzwonka i wsunąłem tam głowę. Przewidywania moje okazały się słuszne; dzwonek zaczął dzwonić: „dzyń, dzyń, dzyń!"...

Czytałem kiedyś, że samobójca przed śmiercią widzi obrazy całego swego życia. Ja widziałem tylko schody...

„Mój Boże" — myślałem — „Kiedy ona wreszcie otworzy!"

A dzwonek dzwonił: „dzyń, dzyń, dzyń!..."

Upłynęły dwie minuty. Usłyszałem kroki w mieszkaniu. Wszystko w porządku. Wysunąłem język, a oczy wzniosłem ku niebu, które wyobrażała tu lampka elektryczna.

Teraz Brygida była już w przedpokoju. Ale co to? Założyła łańcuch u drzwi!

I nagle przez drzwi usłyszałem słowa, które byłyby wyrokiem śmierci na mnie, gdyby sznur od dzwonka nie urwał się jeszcze na czas:

— Panie Leopoldzie, może pan dzwonić i do rana. Przysięgłam Jankowi i nie otworzę!

# WYBAWICIELKA

Tak jak inni nie wiadomo kiedy stają się palaczami, pijakami, narkomanami, tak ja, nie wiadomo kiedy stałem się zabobonnikiem. Zaczęło się niewinnie: od trzynastki, od czarnego kota, który przebiegł mi drogę, od wstania lewą nogą, tak jak zaczyna się od jednego papierosa, od jednego kieliszka wódki. Powoli brnąłem coraz głębiej w ten straszliwy nałóg, tym straszliwszy, że nie dający się utrzymać w tajemnicy. Zawracałem z drogi na widok przechodzącego pogrzebu, kota lub zakonnicy. Pewien kominiarz o dość gwałtownym temperamencie pobił mnie dotkliwie, gdy skradając się za nim uszczknąłem kawałek jego miotły. Od tej pory wolałem łapać się już za guzik; naraziło mnie to w najgorszym wypadku na uwagę „złap się pan za głowę". Cierpiałem nieraz, ale zabobony opanowały mnie już całkiem. Pewnego razu chodziłem dzień cały bez obiadu, gdyż za nic nie byłbym się wrócił do domu po zapomniany portfel; wracanie się rano z drogi przynosi wszak pecha na cały dzień. Przed egzaminem pobiłem moją gospodynię, gdyż przed wyjściem życzyła mi szczęścia; jak wiadomo wróży to pewne oblanie się przy egzaminie. Nie oblali mnie wprawdzie, ale gospodyni wylała mnie na drugi dzień z mieszkania. Był właśnie piątek, więc nie mogłem się wprowadzić do nowego mieszkania, gdyż „piątek, to zły początek" i przesiedziałem całą noc w bufecie kolejowym. Suma drobnych i wielkich klęsk, które dobrowolnie ściągałem na swoją głowę stawała się coraz większa. Zabobony wzbraniały i nakazywały mi, obecność lub nieobecność pewnych przedmiotów lub znamion sprowadzała niebywałe i tajemnicze klęski. Czasem tylko błysnął mi jakiś jaśniejszy promyk w postaci znalezionego miedziaka lub, co tak rzadko się dziś zdarza — podkowy, w postaci przejeżdżającego wesela, potknięcia się lewą nogą, ujrzenia spadającej gwiazdki, znalezienia 4-listnej koniczynki lub 7-listnego kwiatka bzu. Powoli stałem się maniakiem. Zbierałem zabobony, jak inni kolekcjonują znaczki pocztowe. Miałem w swoim zbiorze zabobony pozytywne (na szczęście) i negatywne (na pecha), zabobony zawodowe, zabobony ludowe, zabobony sportowe i zabobony historyczne. Nie dość było mi zabobonów w jednym języku, sięgnąłem i do języków obcych. Wkrótce stosowałem już na widok pająka „Spinne am Morgen bringt Kummer und Sorgen", „Spinne am Mittag bringt Glück am dritten Tag", i „Soir espoir", — uzależniłem się jeszcze i od tego stworzenia. Prócz zabobonów na pory dnia miałem zabobony na poszczególne dni tygodnia; nie podróżowałem w poniedziałki, nie śmiałem się w piątki (aby nie płakać w niedzielę). Wierzyłem w zabobony okolicznościowe; bałem się starej baby na Nowy Rok, wiedziałem, że przy przeprowadzce należy wnieść najpierw stół, a nie łóżko, jeśli nie chcesz, aby cię wynieśli z nowego mieszkania w trumnie, w kierunku nowego księżyca potrząsałem brzęczącą portmonetką. Najbardziej jednak może nie lubiałem stłuczenia lusterka, co wróży za każdym razem dalszych 7 lat kawalerstwa i siedzenia na rogu stołu, co grozi już starokawalerstwem dożywotnim. Groziło mi ono tym bardziej, że niewielkie miałem powodzenie i przeważnie przebywałem w towarzystwie starszych pań, gdzie zawsze mogłem upolować jakiś nowy zabobonik.

Wreszcie poznałem ją.

Było to 13-tego, od razu rano stłukłem lustro przy goleniu i zaciąłem się strasznie brzytwą. Na wszelki wypadek postanowiłem nie wychodzić już nigdzie, aby nie narzucać się losowi. Jadłem więc śniadanie i czekałem z determinacją, z której strony grom spadnie. Jakoż spadł prędko. Właśnie gdy chciałem posolić jajko, zadzwonił dzwonek i do pokoju wszedł gość, młoda, śliczna panienka.

— Przychodzę na skutek ogłoszenia, czy pan Zaboboński? — zapytało uprzejmie dziewczę.

— Bobobński nie Zaboboński, proszę pani, cóż za ogłoszenie? — ryknąłem, wietrząc niemiły kawał i nie tamując złego humoru.

Dziewczątko, lekko zażenowane podało mi numer „Gońca" z zakreślonym czerwono ogłoszeniem.

„Poszukuję inteligentnej sekretarki na popołudnie, cel matrymonialny niewykluczony, zgłoszenia Zaboboński, Długa 5/8".

— Na cel matrymonialny nie liczę bynajmniej, szukam jedynie dodatkowego zajęcia — dodała panienka rezolutnie.

Cóż za głupi kawał — i mnie krzywdę taką i jej, biedactwu, wyrządzić! Solniczka, którą trzymałem w ręce ze zdenerwowania wypadła mi z ręki, sól rozsypała się na podłodze, ja zaś zapomniawszy o pannie, o ogłoszeniu i o całym świecie zmartwiałem z przerażenia. W tym momencie dziewczę skoczyło jak sarna w kierunku stołu, chwyciło cukierniczkę i wysypało całą zawartość (mój ostatni przydział na miesiąc!) na sól na podłodze. Zamieniłem się w znak zapytania.

— Sól rozsypana, to kłótnie i niesnaski w domu, cukier — to miłość i zgoda — wyjaśniła pośpiesznie panienka. — Chciałam po prostu zniwelować złe działanie rozsypanej soli przez dobre działanie cukru!

Uczułem się nagle, jak Pan Jowialski zasypany nowymi, nieznanymi przysłowiami. Rozwinęły się przede mną nowe, nieznane horyzonty.

— A jakby pani „zniwelowała" rozbite lustro? — zapytałem wiedziony dziwnym, radosnym uczuciem.

— Powiedziałabym „Scherben bringen Glück!", no i poszłabym do sklepu po nowe lustro — zaśmiała się panienka. Po 10 minutach Zosieńka zdarła mi jeszcze „na kredyt" kartkę z feralną trzynastką z kalendarza, a w pół godziny później byliśmy zaręczeni.

Obecnie kot, ulubieniec mej żony 100 razy dziennie przebiega mi drogę. Dzieci tłuką lusterka i rozsypują sól. Nic mnie to nie przeraża, na wszystko znalazła się rada. Nie cieszę się już jednak, gdy swędzi mnie lewa ręka; wiem, że choćbym naprawdę, jak mówi zabobon, dostał pieniądze, to wydam je na ślicznego nowego lisa dla mej żony, której na pewno przyniesie szczęście!

**B. B.**

# ZE SCEN I ESTRAD

## II. KONCERT SYMFONICZNY FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

był dla naszych melomanów niepowszednią ucztą artystyczną, zarówno z powodu interesującego programu jak i przez współudział w nim znakomitego skrzypka Wacława Niemczyka z Warszawy. Zapełniona publicznością sala koncertowa „Uranii" i niemilknąca burza oklasków, były najlepszym wyrazem uznania dla kierownictwa Filharmonii, za staranność w doborze programu koncertu i dla artystów-wykonawców programu za mistrzowskie jego odegranie.

W programie znalazły się utwory: St. Moniuszki, uwertura „Bajka", Ryszarda Straussa poemat symfoniczny „Sowizdrzał" i koncert skrzypcowy J. Brahms'a. Zdolność odtwórczą wszelkich rodzajów muzyki symfonicznej, jaka cechuje zespół orkiestrowy Filharmonii, mieliśmy już niejednokrotnie sposobność podkreślić z uznaniem a dziś dodać jedynie możemy, że na tym właśnie koncercie walory orkiestry zajaśniały w całej pełni, zwłaszcza o ile chodzi o uwydatnienie rytmiki i dynamiki zespołowej. Niewątpliwie poczytać to należy w znacznej mierze jako zasługę dyrygenta Erba, który starannie przygotował wykonać się mający program. Niemilknące oklaski słuchaczy pod adresem dyrygenta i orkiestry były objawem szczerej wdzięczności za ich rzetelny trud artystyczny. Zaznaczyć musimy, że uwerturę pt. „Bajka" St. Moniuszki wykonano po raz pierwszy od czasu istnienia Filharmonii.

Koncert skrzypcowy J. Brahms'a w interpretacji Wacława Niemczyka jako wykonawcy ujawnił nam tyle niesłyszanych dotąd szczegółów, których uwydatnienie możliwe jest tylko dzięki tak wybitnej technice gry i muzykalności jaką rozporządza ten znakomity artysta. Znany on jest publiczności polskiej ze swych licznych występów w kraju i zagranicą w okresie przedwojennym. Jako uczeń słynnego skrzypka Jaques Thibaud i laureat międzynarodowych konkursów skrzypcowych w Paryżu i Wiedniu (I miejsce w konkursie) po dziesięcioletnim pobycie w Paryżu wrócił w roku 1938 do rodzinnej Warszawy, gdzie odtąd stale przebywa.

Grę artysty znamionuje żywiołowy temperament przy czarująco pięknej kantylenie i wprost bajeczna łatwość w pokonywaniu najtrudniejszych problemów techniki skrzypcowej. Oceniło te zalety audytorium koncertu, zniewalając artystę do kilku nadprogramowych utworów.

**J. S.**

Na lewo:

**Wacław Niemczyk** jako solista II. koncertu symfonicznego Filharmonii krakowskiej z dyrygentem Rudolfem Erbem.

Fot. Borek

Poniżej:

**H. Górzyńska i K. Ostrowski** w jednej ze scen baletowych.

Fot. Z. Bakula

## „KRÓL WŁÓCZĘGÓW" W JARZE — „ZWYCIĘŻYŁEM KRYZYS" W KOMEDII — „PIOSENKA WĘDRUJE" W HULAJNODZE — „NO TO CYK!" W DOBRYM WIECZORZE — AKTUALIA

Teatr „Jar" wystawił bogatą kostiumowo i piękną dekoracyjnie komedię muzyczną z czasów Ludwika XI „Król włóczęgów". Akcja tej komedii osnuta jest na fragmencie życia bohaterskiego poety i zawadiaki Franciszka Villon, którego zagrał jeden z najzdolniejszych naszych aktorów młodego pokolenia, Andrzej Szalawski. Romantyczną Katarzyną de Vauxcelles była B. Kostrzewska, Ludwikiem XI K. Pawłowski, pełne komizmu postacie Oliviera i Tabarina zagrali W. Jankowski i J. Orwid. W pozostałych rolach ujrzeliśmy: T. Pasławską, K. Plucińską, H. Tereukoczy, B. Artemską, S. Daniłłowicza, E. Barykę, W. Glińskiego, T. Żelskiego, G. Rakowskiego i Chór Bogdana. Taniec cyganów hiszpańskich i balet karnawałowy na motywach tarantelli wykonuje balet E. Paplińskiego w składzie zdolnych tancerzy: Kleszczówna, Kołpikówna, Marynowska, Borkowski, Papliński i Woliński.

Sztuka nie ma żadnych niedociągnięć i braków. Reżyser Daniłłowicz opracował ją w najdrobniejszych szczegółach. Nawet tłum statystów żyje na scenie i jest odpowiednio ubrany i ucharakteryzowany. Brawo! Warszawa powinna więcej takich sztuk zobaczyć..

„Król włóczęgów" wyszedł spod pióra T. Szeluto. Muzyka: Frimmla i Sygietyńskiego,

Młody tancerz **Witold Borkowski** zbiera zasłużone oklaski w teatrze „Jar" w Warszawie.

Fot. Bo

kier. muzyczne St. Nawrota, art.-literack Z. Ipohorskiego a wspaniałe dekoracje dziełem J. Galewskiego.

*

Tak jak Nikodem Dyzma z powieści D łęgi-Mostowicza dzięki swojemu sprytow potrafił dojść do bardzo wysokich stanowisk tak bohater sztuki Vulpiusa „Zwyciężyłe kryzys" tupetem osiąga podobne wyni Bezrobotny inteligent postanawia pracow Zna biurokratyczną i zawiłą strukturę ban zajmuje więc jakieś wolne biurko i bez czyjej protekcji staje się jednym z kół wielkiej maszyny bankowej.

Sztuka jest ciekawa, zręcznie napisa i dostatecznie przekonywująca. Gra aktor bez zarzutu. Adolf Dymsza w roli szczęśl rza, któremu udało się zwyciężyć kryzys zwykle był powodem hucznych braw. Chmielewski i Wł. Łapiński jako bezdus dyrektorzy banku stworzyli b. dobre ty H. Grossówna — nieodpowiednio obsad na — niewiele pomogła jej uroda i wdzi Pozostali, a więc: Łuszczewski, Kieszczyń i Jaworski zagrali tak jak należało.

*

W ostatnich dniach przybył Warsza jeszcze jeden teatr. Tym razem jest to te marionetek „Hulajnoga", który mieści się pięterku kawiarni „Swann".

Inauguracyjny program zatytułowany „P senka wędruje" zmontowano barwnie i ci kawie. Przedstawienie ma charakter grotes muzycznej w pięciu obrazach. Akcja wi wiska toczy się na Węgrzech, w Turc Hiszpanii, dżungli afrykańskiej i w Warsz wie. Poeta, który zwiedza te kraje po r nych przygodach przyjeżdża do Warszaw gdzie postanawia założyć teatr marionet

Do najlepszych pod względem tekstow numerów należy obraz murzyński („Tan tam, tam — tam" — Z. Gozdawy) i warsza ski („Tramwajem do „Swanna" — J. Po skiej). Obrazy te perlą się aktualnym s morem i wywołują na sali huragany śm chu. Melodyjną łatwo wpadającą w uc muzykę napisała młoda utalentowana k pozytorka Irena Aleksandrow. Niektóre z melodii staną się zapewne przebojami sezonu.

Jeśli chodzi o lalki (½ metrowej wysok ści) to „zagrały" bez zarzutu. Aktorzy wyp życzyli im swego głosu a tzw. poruszac dali ruchy rąk i nóg. Z mówiących i śpiew jących aktorów wymienić należy: J. Porad H. Stępowską, A. Kamińską (debiut, m dziewczęcy głosik), Wł. Fabisiaka i popul nego barytona J. Komorowskiego.

Reżyserami tej miłej groteski są: Wł. F bisiak i J. W. Helbich. Kier. art.-lit.: J. Helbich i J. St. Czarnecki. Dekoracje i traf główki marionetek K. A. Mieszkowska i J.

*

Kierownictwo nowootwartego na Ochot teatrzyku „Dobry Wieczór" objął doświa czony w tej dziedzinie J. Wolian. Zespół tru składa się z młodych sił rewiowych: J. zierska (wodewilistka), E. Czajkowski senkarz), J. Podhorski (recytator), L. Les (śpiew i gra na harmonii), A. Muszalska Z. Hamerski (akompaniament). Stronę reograficzną reprezentuje doskonały Lewandowskich.

*

Duży sukces artystyczny odniósł ostat w teatrzyku „Stary Miraż" znany tanc K. Ostrowski. Ten kulturalny i pełen inw cji baletmitrz nie ma możności pokaz wszystkich swoich możliwości tanecznych scence peryferyjnego teatrzyku. Ostrow potrzebuje dużej sceny i prawdziwego tea Pamiętamy go przecież z okresu dawno „Hollywod", „Scali", „Maski" i „Nowo ści", gdzie to pokazał lwi pazur swego lentu. Obecnie dzieje się Ostrowskie krzywda. Podczas, gdy beztalencia kier baletami dużych scen, Ostrowski musi f cować w peryferyjnym teatrzyku. Czas wyższy dla dobra sztuki, aby taki talent lazł się w prawdziwym teatrze.

**Zygmunt Bak**


NOWOCZESNE PAROWE ZAKŁADY WULKANIZACYJNE „GWARANCJA" wł. FR. KOŚCIANEK Warszawa, ul. Książęca 19 tel. 9-31-64

MEBLE KUCHENNE I POKOJOWE poleca: Magazyn KRAKÓW Starowiślna 79

Dr. ANIELA BATAJ Wener. skór. płc. spec. u kobiet WARSZAWA Chmielna 25 11—1 i 3—6

Dr. M. BIERNACKA choroby włosów, skóry, kosmetyka lekarska. Warszawa, Szopena 8, g. 1—6

Dr. A. RUSIN skórne i weneryczne WARSZAWA Rozenita 16 m. 5 godz. 12-1, 4-7

Dr. KRAJEWSKI wener. skór. ór. moczowe Warszawa, Chmielna 56 tel. 267-52 godz. 9—1 i 4—6

Dr. Zofia Kołsut Chor. kob. akuszer. WARSZAWA, Koszykowa 19-8 tel. 961-48 godz. 5-7

Akuszerka M. WÓJCIK Warszawa Złota 8 m 6 tel. 64-824

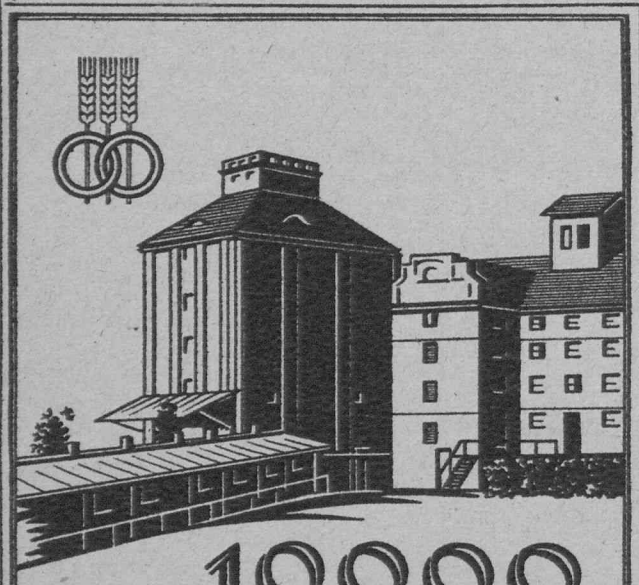

10000 Spółdzielni- w Generalnym Gubernatorstwie stoi w służbie zabezpieczenia wyżywienia ludności

Chirurg Dr med. S. BOGUSZEWSKI Żylaki, owrzodz. opar. Warszawa, Służewska 7 m. 1. tel. 953-91 godz. 3-5

Dr PROCHACKI wener. skórne Warszawa, Krak. Przedm. 40 godz. 4—7

3-mies. Korespondencyjne Kursa Nowoczesnej Księgowości z szczególnym uwzględnieniem księgowości przebitkowej wg. obow. jednolitego planu kont, księgowości rolniczej, administracyjnej prowadzi Publ. Kupiecka Szkoła Zawodowa w Reichshof (Rzeszów). Zgłoszenia: Sekretariat Szkoły, ul. Hoffmannowej 3, tel. 16—43. Dla absolwentów świadectwa. Na żądanie bezpłatnie szczegółowe prospekty.

PRYWATNA KLINIKA CHIRURGICZNO-POŁOŻNICZA DRA HENRYKA WEBERA Warszawa, ul. Chmielna 34 Telefon Nr 650-65 i Nr 504-47

Przyjmuje leżących chorych. — Porady w zakresie chirurgii, ortopedii, ginekologii, położnictwa.

AMBULATORIUM. — STACJA URAZOWA.

Na miejscu: Laboratorium, Roentgen, Diatermia, Faradyzacja, Galwanizacja, Lampa kwarcowa, Solux.

Głębokie płukania jelit, usuwają przewlekłe zaparcia stolca — nieżyły jelita grubego, pasożyty jelitowe i zawroty głowy, bezsenność oraz wszelkie defekty skóry natury kosmetycznej. Warszawa, Koszykowa 32, m. 1 — od 15—18.

# KĄCIK KARYKATURZYSTY

*ZASKOCZONA PYTANIEM*

*...ka: — Powiedz, babciu, co się stało z miodem, z twoich mio- ...miesięcy?*
*...a (zakłopotana): — No, no... no... wypił dziadzio i... i... i... ...stary piernik...*

Rys. Jan Buczkowski — Kraków

# SZACHY

**KĄCIK SZACHOWY Nr. 30**
**Studium Nr. 20**

K. A. L. Kubbel (Nr. 143 zbioru).
Czarne: Ka6, Hf4, piony: b5, e6, f7, g3, h4 (7)
Białe: Kg2, Ga8 i g1, piony: a7, b2, f2, g5 (7)
Białe zaczynają i wygrywają.

**Partia Nr. 29.**

...ale: Lokvenc — Czarne: Schmidt
grana w 3 turnieju GG. w r. 1942.
Gambit hetmana.

| | |
|---|---|
| Sg1—f3 Sg8—f6 | 25. Wd1×d2[15]) Ha5×d2+ |
| c2—c4 c7—c6 | 26. Kf2—f3 Gc5×e3 |
| d2—d4 d7—d5 | 27. Hb3×e3 Hd2—d1+ |
| Sb1—c3 d5×c4 | 28. Kf3—g3 Hd1×a4[16]) |
| a2—a4 Gc8—f5 | 29. He3—d3 Ha4—b4 |
| e2—e3 e7—e6 | 30. b2—b3 a7—a5 |
| Gf1×c4 Gf8—b4 | 31. Kg3—f3 b7—b5 |
| 0—0 0—0 | 32. g2—g4 a5—a4! |
| Hd1—e2 Sf6—e4 | 33. b3×a4 b5×a4 |
| Sc3×e4 [1]) Gf5×e4 | 34. Hd3—d8+ Hb4—f3 |
| Sf3—e5 Sb8—d7 | 35. Hd8—a5 Hf8—a3+ |
| f2—f3 Ge4—d5 | 36. Kf3—g2 Ha3—b2+ |
| e3—e4? [2]) Sd7×e5! [3]) | 37. Kg2—g3 Hb2—b3+ |
| e4×d5 [4]) c6×d5! [5]) | 38. Kg3—f2 Hb3—c2+ |
| d4×e5 [6]) d5×c4 | 39. Kf2—e3 Hc2—c1+ |
| He2×c4 Hd8—a5 [7]) | 40. Ke3—f3 Hc1—f1+ |
| Gc1—f4 [8]) Wf8—g8 [9]) | 41. Kf3—e3 Hf1—h3+ |
| Hc4—b3 Wd8—d4 | 42. Ke3—d4 Hh3×g4 |
| Gf4—e3 Wd4—d5 | 43. Kd4—e3 Hg4—h3+ |
| f2—f4 Wa8—d8 | 44. Ke3—e4 a4—a3 |
| Wf1—d1 h7—h5[10]) | 45. Ha5—a4 Hh3—g2+ |
| Wd1×d5 Wd8×d5 | 46. Ke4—e3 a3—a2 |
| Wa1-d1 [11]) Gb4-c5!! [12]) | 47. Ha4—e8+ Kg8—h7 |
| Kg1-f2[13]) Wd5-d2+[14]) | 48. He8×f7 Hg2—h3+! |
| | Białe poddały się. |

...AGI:
...Lepszym było poświęcenie piona: 10. G—d3.
...13. S×d7, po czym 14. e4 wyrównałoby grę.
...Proste i silne posunięcie. Czarne figury wchodzą łat- ...w grę.
...14. G×d5? S—g6! pion d4 byłby straconym, a 15. H—c4?? ...ło figurę po G—e7! 14. d×e5? prowadziłoby do bardzo ...rzystnej końcówki: G—c5! 15. K—h1 G×c4 16. H×c4 ...4! 17. H×d4 G×d4 itd.
...Tego ruchu nie uwzględniły białe w swym obliczeniu. ...także po 15. G×d5 H×d5 miałyby białe małe osłabienie ...ów w centrum, inne ruchy kosztowałyby piona.
...Czarne stoją trochę lepiej, mają „dobrego" gońca i W ...dzi z tempem do gry.
...Białe wzbraniają się przed graniem f4, podczas gdy G ...tu bardzo źle. Zresztą 17. f4 Wf—d8 18. G—e3 W—d5 19. ...G prowadziłoby do tej samej pozycji.
...Grozi 18 . . . W—d4 19. H—c1 G—d2 20. G×d2 W×d2 roz- ...grywającym zyskiem terenu.
...Białopolowo ze względu na gońca!
...Właśnie po tym ruchu pada w piękny sposób taktyczne ...rzygnięcie. Lecz i tak nie było już zadowalającego kon- ...owania. Np. 23. W—c1 G—d2! Stosunkowo najlepszym ...23. W—f1.
...Pięknie kombinowano! Czarne zdobywają co najmniej ...Przede wszystkim grozi białym utrata figury po wy- ...nie na d1 lub e3.
...Nie ma obrony wystarczającej. A. 24. W×d5?? H—e1 ...B. 24. G—f2?? H—b6!! zdobywa figurę. C. 24. G×c5 ...ze zyskiem piona, zarówno po 25. K—f1 W×d1+ 26. ...H—c4+ jak i po 25. K—h1 H—c4! itd. D. 24. W—f1 ...25. H×e3 H×a4 z zyskiem piona. E. 24. W—a1 H—d2 ...×c5 W×c5 z decydującym wtargnięciem figur czarnych, ...w razie 26. H×b7 nastąpi H—e3+, podczas gdy po 26. ...H—d4+ 27. K—h1 H×f4!
...Właściwy dowcip poprzedniego ruchu.
...Białe nie mają wyboru: 25. K—f3 G×e3 26. K×e3 W×g2 ...Ta końcówka jest wygrana dla czarnych. Schmidt gra ...końca po mistrzowsku.

— Ile ma pani lat, panno Wandziu?
— Dziewiętnaście.
— Ależ, panno Wandziu, to już pani mi mówiła przed dwoma laty, gdy ją poznałem.
— Tak, ja nie należę do tych dziewcząt, które dziś tak, a jutro tak, mówią.

*

Ona: — W tym parku poznaliśmy się przed dwudziestu laty. A teraz towarzystwo parcelacyjne zakupiło to piękne miejsce i będzie tu budować domy czynszowe.
On: — Hm, dwadzieścia lat za późno.

*

— Wiesz co, żonusiu, musimy kupić sobie barometr, aby wiedzieć, czy będzie deszcz, czy pogoda.
— A po co? Na cóż pan Bóg stworzył reumatyzm?

*

— Panie Makowski, zaniedbujesz się pan! Więcej sensacji, koniecznie więcej sensacji!
— Cóż pan redaktor żąda, żebym za te marne kilka groszy od wiersza zrobił trzęsienie ziemi?!

*

— Mamusiu, czy mogę się bawić z Andzią w mamę i tatusia?
— Dobrze, możecie, tylko żebyście czego nie stłukli!

*

— Co to znaczy Kasiu? Cały dzień jesteś nieuczesana, brudna, nieubrana, a tylko byś plotkowała i nic więcej! Czy ci się zdaje, że jesteś panią domu?

*

— Gdzie pana boli? — pyta lekarz pacjenta.
— Och, tu na szczycie głowy, panie doktorze!
— Tak, tak, to będą nerwy — mówi lekarz.
— A ja myślałem, że cegła, która przed chwilą spadła mi na głowę!

*

— Jeżeli pożyczę, Jasiu, twemu ojcu 200 złotych pod warunkiem, że będzie mi spłacał po 20 złotych miesięcznie, to ile mi będzie jeszcze winien po sześciu miesiącach?
— Dwieście złotych, panie profesorze.
— Ależ, nic podobnego, Jasiu! Pomyśl dobrze . . .
— Na pewno, panie profesorze! Bo ja znam mojego ojca.

*

— Panie, pan się bezczelnie wpatrywał w moją żonę!
— Ani mi się śniło! Gwiżdżę na pańską żonę!
— To jeszcze większa bezczelność! Pan się będzie ze mną strzelać!
— A czy pan ma pozwolenie na broń i kartę myśliwską?
— A na co mi karta myśliwska?
— Bo moje nazwisko: Zając . . .

*

— Czy wiesz, Janku, już zaczynają o nas plotkować! Musimy się pobrać, choćbyśmy mieli żyć o chlebie i wodzie!
— Ależ naturalnie, Zosiu! Ty pomyśl o chlebie, a ja wystaram się o wodę.

*

— A paniusi syn niby co skończył?
— A, no, medycynę.
— No i czym teraz jest?
— A, no, ocznym okulistą, kochana pani.

*

— Jak to? Chcesz się kąpać po obiedzie? Osłabniesz i pójdziesz na dno!
— O, nie — jadłem dzisiaj tylko ryby!

*

Człowieka poznaje się po jego otoczeniu, po cygarach, jakie pali. A jeszcze lepiej po cygarach, jakimi częstuje.

*

— Dziwne, że na wyścigach stale przegrywasz, a w karty zawsze wygrywasz?
—No . . . bo koni nie mogę tasować.

*

— Czy chodzisz na seanse spirytystyczne?
— O, nie głupim! Nie ma już nawet duchów porządnych. Ostatnio u moich znajomych duch Aleksandra Wielkiego skradł mi portfel z pieniędzmi z kieszeni.

*

Pewien adwokat wygrał trudny proces:
— Mecenasie! — zawołał uradowany klient — nie wiem doprawdy, jak panu wyrazić moją wdzięczność!
— Od czasu, kiedy Fenicjanie wynaleźli pieniądze, kwestia ta już nie istnieje — odpowiedział przebiegły adwokat.

*

— Przepraszam, czy tu mieści się klinika dla psów?
— Nie! Tu mieszka nauczycielka śpiewu.
— Ach, przepraszam! Omyliłem się kierując się słuchem.

*

— Cóż tam było w szkole, Jasiu! Czyś powiedział, żeś nie był w szkole dlatego, ponieważ było u nas bicie wieprzka?
— Mówiłem, mamusiu, ale pan nauczyciel powiedział, że dopóki nie przyniosę dowodu, to mi godzin nie uwzględni.

*

— Wiesz co żonusiu, wczoraj przyjęta nasza nowa kucharka jest bardzo cicha, nie słychać jej wcale w kuchni.
— No, tak, bo dzisiaj odeszła!

*

Profesor egzaminuje studenta medycyny.
— Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś odmroził sobie nogi. Znajdujesz się pan z nim w szczerym polu, wśród śniegów. Jak pan wtedy postąpi?
— Będę mocno nacierał nogi śniegiem.
— Bardzo dobrze. Ale niech pan sobie wyobrazi, że to było latem i nigdzie nie ma ani odrobiny śniegu? . . .

*

Gospodarz: — To mieszkanie kosztuje miesięcznie tylko 80 złotych, ale nie ma ani centralnego ogrzewania, ani ciepłej wody, ani elektrycznego światła, ani . . .
Poszukujący mieszkania: — To się doskonale składa, gdyż ja też nie mam 80-ciu złotych.

*

Pan Szymon Mleczarz zatacza się na ulicy. W pewnej chwili wpada na stójkowego:
— Przepraszam — nie — nie — mógłby mi pan powiedzieć, która godzina?
— Szósta.
— Rano czy wieczór?
— Rano.
Pano Szymon wzdycha: — Ale wczoraj to czy dziś?

# ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

*— Spojrzyj Piotrusiu, jak tatusiowi smakuje twoje lekarstwo.*

Münchner Illustrierte Presse

*„...i jeżeli będziecie mieli państwo, jakie życzenie, proszę zapukać do ściany... ja zwykle słyszę najlżejszy szmer z tego pokoju!"*

Kölnische Illustrierte Zeitung

*Niech mnie pan dzisiaj specjalnie elegancko ostrzyże, gdyż idę właśnie na spotkanie z tą tancerką*

Die Post

*PO ŚLUBIE*

*— Jestem mocno rozczarowany Helu, dlaczegoś mi wcześniej nie powiedziała, że masz fałszywe zęby.*
*— To przecież nic nie szkodzi — mogę je zaraz wyjąć.* Die Woche

# SNYCERZ TWORZY

**RZEŹBIENIE DRZEWA WEDŁUG MODELU**
Przede wszystkim trzeba mieć do dyspozycji kloc drewniany. Obok pnia stoi model sporządzony zazwyczaj z wosku. Przy pomocy kilku kresek daje mistrz ostatnie wskazówki swej uczennicy.

Na prawo u góry:

**MODEL Z WOSKU**
Mistrz pracuje nad grupą taneczną. Właśnie wykańcza model z wosku.

**OD SZKICU DO GOTOWEGO DZIEŁA**
Przed rozpoczęciem rzeźby, snycerka mierzy starannie poszczególne części modelu. Od dokładności tych pomiarów zależy udanie się całego dzieła.

Poniżej:

**MISTRZ PRZY PRACY**
Powstają misterne płaskorzeźby zdobiące dno beczki z winem.

**SPORZĄDZANIE MODELU**
Sam mistrz modeluje grupę cietrzewi. Model ten będzie później służył jako wzór dla rzeźby w drzewie.

**POWSTAJE NOWE DZIEŁO**
Po dokonaniu najstaranniejszych pomiarów wszystkich szczegółów według modelu z gipsu, rzeźbi się go w drzewie.

**PROFESOR KORYGUJE**
Niejednokrotnie przy udzielaniu wskazówek profesor sam chwyta za dłuto i przeprowadza niezbędne poprawki

Fot. Wi... i Pe...